



# "Jeśli przytulam kogoś na powitanie, może być pewien, że to jest szczerze" - wywiad z Martą Krajewską

Jagna Rolska



*Marta Krajewska, autorka książek fantastycznych dla dzieci i dorosłych, pasjonatka kultury wczesnosłowiańskiej, opowie o swoich projektach literackich, planach na przyszłość, a także o tym, jak zareagowała na wiadomość o pewnej nominacji. Zdradzi nam również, jak sobie radzi z izolacją i obecną sytuacją na świecie.*

## **Jagna Rolska: Łatwiej pisze się dla dzieci, czy dla dorosłych?**

**Marta Krajewska:** W pierwszej chwili pomyślałam, że mi się niczego nie pisze łatwo... Uwielbiam fazę wymyślania fabuły, lubię, gdy do głowy napływają mi obrazy i fragmenty scen, dialogów, opisów, a ja wtedy cieszę się jak dziecko, że napiszę coś takiego. Niestety, potem nadchodzi ten moment, kiedy trzeba usiąść i naprawdę wklepać tekst, znak po znaku, i to jest dość okropny etap. Kiedy piszę dla dzieci, muszę się trochę hamować w tej właśnie fazie, bo dzieci mają prawo nie łąpać intertekstualności, męczyć się zbyt długimi zdaniami czy nudzić opisami bez akcji. Myślę jednak, że i takie elementy trzeba im serwować, tylko w możliwych do przyswojenia dawkach. Dla dorosłych piszę z większym rozmachem, ale też mam świadomość, że czytelnicy znają już mnóstwo schematów, trudniej ich zaskoczyć, a czasem wcale nawet nie chcą być zaskakiwani! Chcą przeczytać coś w schemacie, który znają i lubią, tak jak ja mogę oglądać milionowy film o potworach na statku kosmicznym albo komedię romantyczną o nastolatkach. Lubię to i nie chcę, żeby mi tam za wiele mieszano. Chcę dostać moje danie dobrze doprawione, smaczne, ale wciąż będące moim ulubionym daniem. Większość z nas wcale nie lubi, kiedy nasz ulubiony zespół wydaje nową płytę i jest ona inna niż poprzednie. Muzycy chcą się rozwijać, ale my chcemy słuchać więcej tego, co pokochaliśmy! Podobnie jest z książkami, a wiem, co mówię, bo choć głównie piszę fantastykę z motywami słowiańskimi, to przecież mam na koncie także serial dla młodzieży na Storytel, historię dla dzieciaków osadzoną w latach 90', czy kilka opowiadań grozowych i komediowych w różnych antologiach. Ale za każdym razem, gdy wrzucam na fanpage informację o którymkolwiek z nich, przynajmniej jedna osoba zapyta pod tym postem o trzeci tom „Wilczej Doliny”. Odbiegłam bardzo

daleko od odpowiedzi na pytanie, ale to pewnie dlatego, że nie umiem na nie odpowiedzieć, ha, ha! Już kiedyś mnie o to pytano i naprawdę nie wiem.

**J. R.: Nie dość, że odbiegłaś, i to w ciekawą stronę, to jeszcze w zasadzie prawie odpowiedziałaś na kolejne pytanie. Bo tak się składa, że chciałam zapytać o Twój dorobek literacki. Ale może usystematyzujmy to i zacznijmy od debiutu. Opowiesz naszym czytelnikom, co i kiedy to było?**

**M. K.:** Na początku 2014 roku ukazała się grozowa antologia „Toystories” i tam po raz pierwszy zobaczyłam swoje opowiadanie w druku. Jednakże w październiku tego samego roku „Nowa Fantastyka” opublikowała „Daję życie, biorę śmierć” i wiele osób, a także portali, uznaje ten tekst za mój debiut. To opowiadanie było zresztą nominowane do nagrody im. Janusza A. Zajdla, a do tego jest osadzone w realiach inspirowanych wczesną słowiańszczyzną, więc jest z pewnością bardziej znane i bardziej charakterystyczne dla stylu, którym się posługuję. Mam jednak ogromny sentyment do „Toystories” i dlatego najczęściej mówię, że w 2014 roku debiutowałam dwukrotnie – w grozie i w fantastyce.

**J. R.: Jesteś pasjonatką wierzeń i kultury wczesnych Słowian. Ma to zdecydowany wpływ na Twoją twórczość. Od czego się zaczęło? Pasja sprawiła, że postanowiłaś przenieść wiedzę na papier, czy może odwrotnie - poszukiwanie tematów do książek przeistoczyło się w pasję?**

**M.K.:** Jestem z tych, co to piszą od dziecka, więc bezsprzecznie to pisanie było pierwsze. Kiedy zaczęłam pisać „Idź i czekaj mroźów”, historia rozgrywała się po prostu w klasycznym fantastycznym quasi-średniowieczu ale tak się stało, że właśnie w tym czasie, po odwiedzeniu turnieju w Dębnie, zafascynowałam się „wczesniakami”. Potem przyszła naturalna myśl, żeby świat Wilczej Doliny w tej średniowieczności dookreślić. Tak też zrobiłam i kosztowało mnie to ogromnie dużo nauki i wysiłku oraz znacznie spowolniło pracę nad powieścią, natomiast gdy już to wszystko dopięłam, usłyszałam od jednego z wydawców, że motyw słowiański to taka nisza w niszy, że nie zdecydują się na wydanie, bo target nie istnieje. Cóż, minęło pięć lat i Słowianie z wolna zaczęli się wdzierać do popkultury, a wtedy moja książka była wreszcie odpowiednio mało niszowa. Teraz słowiańskość staje się wręcz modna, mamy słowiańską gimnastykę, runy, spisek w postaci ukrywania Wielkiej Lechii... Czekam na słowiański popcorn i trochę się boję, żeby za kolejne pięć lat ta tematyka nie stała się obciachową.

**J. R.: Można więc śmiało powiedzieć, że wyprzedziłaś obecny trend i masz parę lat przewagi w dogłębnych studiach tematycznych. Czy w toku pracy badawczej odkryłaś coś, co szczególnie Cię zdziwiło lub zafascynowało?**

**M.K.:** Praca badawcza brzmi bardzo miło, ale z tego, co pamiętam, to było (i jest) po prostu rycie nosem w książkach, napisanych przez Mądrych Ludzi. W ciągu tych ponad dziesięciu lat trafiałam na tematy, które zaskakiwały. Kiedy jeszcze prężnie działało forum Freha, pamiętam wątki z zażartymi kłótniami o to, czy możliwy był krótki rękaw w kobiecej sukience. Do dziś problemem jest kwestia kobiecej bielizny, tego, czy i co kobiety nosiły pod gieźlami. W ciągu tych lat naprawdę dużo się zmieniło – podejście do rekonstrukcji historycznej (zarówno wśród odtwórców, jak i widzów), uznano pewne dogmaty, inne obalono, badania nad kulturą naszych przodków poszły do przodu, rozwinęło się wiele gałęzi rzemieślnictwa-rękodzieła, które jest swego rodzaju archeologią doświadczalną i testuje, co z tego, co wiemy i co nam się zdroworozsądkowo wydawało, naprawdę sprawdza się w praktyce. Moda na Słowian umożliwia rozwój tej branży, a nawet takim osobom, jak ja, ale też stanowi pewnie niebezpieczeństwo, bo w zalewie publikacji coraz trudniej rozeznaczyć, co jest nauką, a co chęć i mrzonką – co jest, jak to się mówi, „turbo”. Zanim kupię książkę, prześwietlam autora i zdaję sobie sprawę, że ludziom, którzy czują głód wiedzy i łapią pierwsze rzeczy, które podpowie Google, albo które wepchnie im w dłoń marketing wydawniczy, bardzo

łatwo jest się pomylić i zacząć sobie wyrabiać trochę fantastyczną wizję naszej historii.

**J.R.: Miałam już przejść z pytaniami dalej, ale kwestia krótkich rękawów w przyodziewku słowiańskiej kobiety zdecydowanie mnie zelektryzowała i osadziła w miejscu. I tak się zastanawiam: jak w zasadzie nosiły się nasze pra-Polki?**

**M.K.:** Wciąż nie mamy znalezisk z naszych obecnych terenów, stąd pojawiają się dyskusje nad pewnymi elementami stroju. Generalnie zakładamy, że za bieliznę służyło giezło, czyli lniana sukienka spodnia, na którą zakładano wierzchnią - również z lnu, lub, w zimniejszych miesiącach, wełnianą. Stroje obszywano na krajach tkanymi pasami, które jednocześnie chroniły brzegi stroju, ale też pełniły funkcję ozdobną. Od tego, że obszywano nimi kraje odzieży, wzięła się nazwa tych pasów - krajki. Krajki służyły również jako paski do sukien, a za nie zatykano prostokątne zapaski, czyli takie jakby fartuszki. Fartuchy na szelkach uważa się za wikińskie, nie słowiańskie. Podobnie jest z płaszczami, te z półkola uważa się za wikińskie, a nasze są prostokątne. Jednak to są niuanse. Jeśli mówimy o stroju kobiecym, to oczywiście była i biżuteria, wisioriki, ale i charakterystyczne dla naszych prababek kabłączki skroniowe, którymi przyozdabiano krajkę podtrzymującą biały zawój na głowie. Kiedy kobieta stawiała się mężatką, nie chodziła już z gołą głową, tylko w takim właśnie zawoju, ale zauważam, że do tego elementu rekonstruktorzy podchodzą dość dowolnie. A może tylko mi się zdaje. U siebie, w „Dolinie”, wprowadziłam dowolność noszenia zawoju, ale ja piszę fantastykę, która jest inspirowana historią. Nie jest to uniwersum historyczne. Wciąż czekam na jakieś tekstylne odkrycie na terenach Polski.

**J. R.: W cyklu „Wilcza dolina” ukazały się dotychczas cztery powieści. Czy czytelnicy mogą liczyć na kolejną? Jeśli tak, to na jakim etapie są prace?**

**M.K.:** Tak, prowadzę jednocześnie dwa cykle osadzone w uniwersum Wilczej Doliny. Pierwszy z nich to tak zwana „trylogia Vendy”, czyli opowieść dla dorosłych, w której seksu i śmierci nie unikam. W tej chwili pracuję z trudem nad ostatnim tomem, ale choć mam już rozplanowaną całą fabułę, wątki poprzeplatane, wielki finał skryzalizowany i pewny, to słowa jakoś nie chcą płynąć. Planuję skończyć ten tom do końca roku i, jeśli wszystko się uda również od strony wydawniczej, oddać go w ręce czytelników w 2021 roku. Natomiast drugim cyklem jest ten dla młodszych czytelników, czyli seria „Bratmi”. Tutaj rozpisałam historię na cztery tomy, każdy ma się dziać w innej porze roku, a na rynku mamy lato i jesień. W notesie spisałam już z grubsza fabułę trzeciego, zimowego tomu, ale pisaniem zajmę się dopiero po uwolnieniu się od „trylogii Vendy”. Wiem, że wielu czytelników czeka na zakończenie tej historii, a ja już zbyt długo nad tym pracuję, ale myślę, że książka musi powstawać tyle, ile musi.

**J. R.: Rzeczywiście, tego się nie da zwyczajnie przyspieszyć. A nawet jeśli pisarz się zmusi, to z pewnością odbije się na jakości tekstu. Jednak czasem wenę można nieco dopieścić. Jak w Twoim przypadku wygląda idealne miejsce do pisania? Czego nie może zabraknąć?**

**M. K.:** Mojego magicznego notesu i długopisu. Mam świra na punkcie długopisów, notatników, karteczek samoprzylepnych itp. Chyba zresztą większość piszących cierpi na tę manię! Poza tym, że zawsze biorę notes i laptopa, nie mam innych stałych rytuałów. Fakt, zimą lubię palić zapachowe świece i mieć pod ręką gorącą herbatę, a od wiosny piszę przy otwartym oknie, jednak jestem mocno elastyczna, jeśli idzie o pisarskie zwyczaje. Muszę! W domu często panuje chaos, dzieciaki biegają i nie mam co liczyć na izolację, ciszę i atmosferę skupienia, toteż wyrobiłam sobie dość podzielną uwagę. Kiedy już zacznę pisać i nic mnie nie rozproszy aż do momentu, gdy jestem naprawdę wkręcona w proces, to potem może się wokół palić i walić, ja nie słyszę. Najgorzej, że to wkręcanie się w proces czasem trwa krócej, czasem dłużej i są takie dni, kiedy byle co mnie rozprasza i w ogóle nie udaje się zacząć pisania. Nazywam to ślinieniem się na klawiaturę i szczerze tego nie znoszę, bo to stracony czas. Ostatnio często wyłączam Internet w komórce i w laptopie,

kiedy siadam do pisania. Przynajmniej o jeden rozpraszacz mniej.

**J. R.: Dosłownie przed kilkoma dniami otrzymałaś pewną nominację, ale może, skoro nadarza się taka sposobność, pochwalisz się sama naszym czytelnikom i przy okazji powiesz, jak na tę wieść zareagowałaś?**

**M. K.:** Tak, zostałam nominowana do nagrody im. Macieja Parowskiego, czyli dawnej nagrody Reflektor Nowej Fantastyki. To nagroda przyznawana autorom, którym według kapituły, należałoby się większy rozgłos, czyli to światło reflektora. Jak zareagowałam? Szczerze mówiąc, gapiałam się w treść posta Nowej Fantastyki tak, jakby po którymś mrugnięciu moje nazwisko miało wyparować z listy. Obawiałam się, że to jakaś pomyłka, no bo przecież... to tylko ja. A potem bardzo, naprawdę bardzo, szczerze się ucieszyłam. Zawsze się cieszę z każdej nominacji, bo jakoś wydaje mi się, że przy nominacjach wyłania się kilka nazwisk z dziesiątek, może setek innych i odbieram to każdorazowo jako ogromny zaszczyt. Wspólnominowane Magdalena Świerczek-Gryboś i Karolina Fedyk wydały świetne powieści i rzeczywiście należą im się brawa, tak więc nawet jeśli nie wygram, nie będę miała poczucia, że przegrałam, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Jestem z tego pokolenia, które marzyło, by zobaczyć swój tekst w „Nowej Fantastyce” i mam to szczęście, że udało mi się spełnić to marzenie - zadebiutowałam na łamach tego kultowego miesięcznika! NF zawsze będzie miała specjalne miejsce w moim sercu.

**J. R.: Gratuluję nominacji i doborowego towarzystwa. Powiedz, jak scharakteryzowałabyś dzisiejszy fandom?**

**M. K.:** Chyba nie jestem osobą, która powinna próbować oceniać fandom, bo nie umiem nawet powiedzieć, czy naprawdę do niego należę. Ja jestem z tych, co to z trudem definiują swoją przynależność do grup. Zawsze czuję, że stoję trochę z boku i choć bardzo lubię ludzi, jednocześnie nie uważam się za zespołowego gracza. W grupie najczęściej albo staram się dowodzić (co jest czasem dobre, czasem złe, ale w fandomie niemożliwe), albo stoję trochę z boku i obserwuję, najczęściej dość krytycznie. Ta druga postawa włącza mi się szczególnie, kiedy poziom słodyczy i wzajemnej adoracji w towarzystwie staje się niebezpiecznie wysoki. Mam genetyczną skłonność do cukrzycy, więc to może mechanizm obronny ;) W każdym razie, do czego dążę tym przydługim wywodem o sobie! Nie znam dawnego, trochę już mitycznego fandomu lat '80 i '90, mimo to, kiedy weszłam w środowisko, bardzo mi się spodobała atmosfera bezpośredniości, tego, że do każdego możesz zagadać, że większość osób z chęcią pomoże ci, jeśli tylko jest w stanie. Kochałam wtedy wszystkich! Tak podchodziłam do ludzi w tamtym okresie życia. Poznałam masę świetnych osób i żywię do nich same ciepłe uczucia, a zawsze, gdy mamy okazję się spotkać, ogromnie się cieszę. Jednocześnie widzę też, że jakiś odsetek tych znajomości był na pokaz. Ludzie kochają się w social mediach, a potem udają, że nie widzą się na konwentach. Plotki, fałsz i nieszczerłość są bardzo częste. Natomiast, oczywiście, ludzkie relacje takie już są. Tak mamy. Byłoby niesprawiedliwością powiedzieć, że cały fandom jest nieszczerzy i na pokaz, tym bardziej że czasy się zmieniają i my się w nich zmieniamy. Dziś nie jestem już tamtą osobą, co na początku przygodny z fandomem, w życiu podchodzę już do ludzi trochę inaczej, ostrożniej. Natomiast tym bardziej cenię sobie dobrych ludzi, dlatego jeśli przytulam kogoś na powitanie, może być pewien, że to jest szczerze. Tu stoją mi przed oczami osoby, które działają w fandomie, a które uwielbiam i żałuję, że nie spotkamy się w tym roku na konwentach. Odnośnie zaś konwentów, widzę, że obecnie zmierzają w kierunku profesjonalnych eventów, co może zaburza ten wizerunek bezinteresownego tworzenia „fani dla fanów”, ale ma też dobre strony, bo coraz częściej można liczyć na zwrot kosztów dojazdu, zakwaterowanie czy nawet drobne wynagrodzenie dla prelegentów. Jednocześnie... coś się zmieniło do tego stopnia, że żaden klub nie zgłosił chęci organizacji Polconu w tym roku. To daje do myślenia. Ja lubię szum i blask dużych imprez, są niezwykle ciekawe dla mnie, jako dla widza, no i mile łechcą ego, jeśli jest się gościem ;) Natomiast naprawdę dobrze czuję się na małych konwentach. Może to dlatego, że nie należę do grupy tworzącej serce fandomu, jestem mało znana i znam za mało ludzi. Na mniejszych

konwentach zachował się jakiś ostatni kawałek ducha dawnych, mitycznych imprez, na których wszyscy się znali i wspólnie starali się, żeby ten dzień był wyjątkowy. Tak sobie myślę... Fandom to ludzie. Kiedyś było ich mniej, teraz grupa się rozrosła, zmieniły się kanały komunikacji, potrzeby widzów i gości, no i wiesz, moje zdanie tak naprawdę się nie liczy, bo dryfuję gdzieś na obrzeżach fandomu. Nie do końca dobrze się czuję z tym, co napisałam powyżej, bo może ktoś fajny poczuje się urażony. Jednocześnie nie czułabym się dobrze, nabierając pełne usta brokatu i wystawiając laurkę. Fandom to ludzie, a ludzie są bardzo różni. Nie da się przyłożyć jednej miarki do wszystkich.

**J. R.: No właśnie. Lubisz szum i blask dużych imprez. Jak więc znosisz obecną sytuację związaną z epidemią? Nastraja do pisania, czy wręcz przeciwnie?**

**M.K.:** Akurat od końca zeszłego roku borykam się z depresją i od stycznia jestem na zwolnieniu lekarskim, tak więc siedzenie w domu miałam przećwiczone trochę wcześniej, niż reszta społeczeństwa, natomiast było to siedzenie w niewesołym nastroju. Kiedy już mi się wydawało, że coś się poprawia, rozpoczął się trudny czas pandemii i mój stan znów się pogorszył. Od ponad roku walczę z niemocą twórczą, składam ostatni tom trylogii Vendy, ale piszę bardzo mało i bardzo nieregularnie. Dla odblokowania mózgu zaczęłam pracę nad drugą książką, czego nigdy wcześniej nie robiłam. Nigdy nie pisałam dwóch rzeczy naraz. Trochę to pomaga, ale i tak wiem, że jestem okropnie nieefektywna w tym momencie życiowym. Poza pisaniem jednak kwarantanna jest dla mnie zbawienna, bo właśnie tego odcięcia od świata obecnie potrzebuję. Moja terapeutka powiedziała, że teraz nie jest czas na działanie, teraz jest czas na myślenie i jakoś bardzo mi te słowa zapadły w serce. Jest bardzo dużo spraw, które muszę poukładać w swojej głowie i swoim życiu, dlatego korzystam z tego, że jest wiosna, że mam własną ziemię, po której mogę spacerować, i staram się jak mogę opanować chaos, jakim się stałam w ostatnich miesiącach. Szczęśliwie mam przy sobie najbliższych, wszyscy jesteśmy zdrowi, mogę więc czekać, aż świat wróci do normy. Chociaż wiesz, jak pozginasz kartkę, to nawet gdy ją potem wyprasujesz, linie zagięć zawsze już będą widoczne, myślę więc, że ani świat, ani ja, nie będziemy już nigdy tacy sami. I wbrew temu, co nam się mówi, ja nie wierzę, że będziemy lepsi.

**J.R.: Dziękuję Ci bardzo za interesującą rozmowę i życzę dalszych sukcesów.**

**M.K.:** Dzięki, to była czysta przyjemność.